

**OSTATNIE OFIARY STALINIZMU W POLSCE
W OKRESIE STANU WOJENNEGO 1981-1983 I ICH OBROŃCY**

**Wywiad z Włodzimierą PAJEWSKĄ
przeprowadzony przez Grzegorza Kaczorowskiego
w Poznaniu, dn. 9 czerwca 2008 roku**

Nazywam się Grzegorz Kaczorowski. Jestem ankieterem Fundacji KOS, która prowadzi badania zatytułowane „Ostatnie ofiary stalinizmu” i „Ocalmy od zapomnienia”. Celem badania jest zebranie świadectw osób będących ofiarami represji w okresie 1945-1989 ze szczególnym uwzględnieniem okresu stanu wojennego. Ponieważ nasza praca ma charakter dokumentacyjny nasza rozmowa będzie rejestrowana za pomocą dyktafonu oraz kamery. Nasza rozmowa będzie trwała ok. 45 minut.

Czy mogłaby się Pani przedstawić?

Włodzimiera Pajewska.

Gdzie i kiedy się Pani urodziła?

25 grudnia 1943 roku w Poznaniu.

Chciałbym z Panią porozmawiać chwilę na temat historii Pani rodziny. Kim byli Pani rodzice?

Moja matka, z domu Stepczyńska była pracownikiem umysłowym z wykształceniem gimnazjalnym. Jak zaczęła się wojna chodziła do drugiej gimnazjalnej i już po wojnie nie dokończyła [gimnazjum]. Dziadek- towarzysz Spychalski nadał mu porucznika. Był starszym wachmistrzem w 15 pułku Ułanów w poznańskim, powstańcem wielkopolskim. Babcia pochodzi z rodziny Marcinkowskich, od Karola Marcinkowskiego. W domu to jest okres patriotyczny. U nas nikt się nigdy nie zaplątał w jakiś PZPR, w jakieś takie inne współpracy. Mój ojciec był z zawodu dziennikarzem, był współwłaścicielem drukarni, po wojnie [nazywała się] Kasprzaka. Wplątał się też w działalność podziemną, został aresztowany w maju 1943., tak że nie znam ojca. Został stracony w Forcie VII w pod Poznaniem w kwietniu 44 roku.

Czy mogłaby Pani wskazać jakieś wartości, które były szczególnie ważne w Pani rodzinie. Wspomniała Pani o wartościach patriotycznych...

Dużo informacji czerpałam z radia Wolna Europa. To był wówczas jedyny kontakt. Mieliśmy radzieckie radio, które świetnie odbierało, no i dziadek na okrągło słuchał. Babcia nieraz wyzywała, bo to też nie wiadomo, sąsiedzi... Potem okazało się, że to też nie było wszystko w porządku. Stamtąd głównie czerpałam wiadomości. A jak dziadek chciał przekazać bardziej zakazane wiadomości, to wówczas zapraszał mnie do zoologu, czy gdzieś chodziliśmy na lody i wtedy mi opowiadał. I ja już jako maluteńkie dziecko wiedziałam o tym, że oficerowie byli, o Katyniu wiedziałam. Nie zupełnie kojarzyłam o co chodzi, że jego koledzy zginęli w Katyniu, i mieli takie lampasy i jak Ruscy te lampasy obcinali szablami. Od małego słyszałam. Babcia poruszała inny temat: mniejszości narodowej; z uwagi na to, że jej rodzina została dotknięta przez tę

mniejszość narodową. Przed wojną jak szła z ordynansem na zakupy na Stary Rynek to zawsze wpadała do takiego sklepu, gdzie mniejszość była właścicielami i wyzywała, bo oni oszukiwali Polaków. Dziadek zawsze ordynansa dawał do opieki, bo wiedział że będzie jakaś rozróżba. Tak, że byłam wychowana prawidłowo.

Porozmawiajmy teraz na temat Pani działalności społecznej i opozycyjnej. Czy należała Pani do jakichś organizacji społecznych?

Tak, należałam do Związku Harcerstwa Polskiego do czasu aż [go] nie rozwalił Kuroń. Jak trzeba było nosić te czerwone chusty dziadkowie mnie wycofali. Już byłam w 10 klasie. Myśmy jeszcze mieli krajki zamiast chust. W jedenastej klasie już mnie wycofali i miałam zakaz. W pracy raz mi się zdarzyło..., bo to takie zmuszanie było na 1 maja. Pracowałam wtedy w takiej hurtowni tekstylno-odzieżowej i zamówili dla młodzieży specjalne jedwabne krawaty. Mnie się ten krawat podobał, bo to był jedwab. No, ale jak tu wyjść z domu? Na to gównie trzeba było pójść. My młodzi tak się organizowaliśmy, bo oni tam odhaczali, myśmy się wszyscy zgłaszali, [a] na strefie pierwszej zakręt, była w Poznaniu taka kawiarnia W-Z, i fru. To już taka umowa była i wszyscyśmy się w tej kawiarni na Fredry spotykali. Z domu jak wychodziłam to szkoda mi było tego krawata. Ale przecież nie wyjdę z domu w czerwonym krawacie, bo by mnie z domu wyrzucili. To był jedyny [raz] kiedy się zaplątałam z tym czerwonym krawatem. A potem jeszcze byłam 3 miesiące w ZMS-ie. Chciałam jechać do Szklarskiej Poręby i musiałam zapłacić to członkowskie. Ale jak już przyjechaliśmy [do Poznania] to ja już nie byłam. Ale tak, to do żadnej organizacji nie należałam.

Jakie było Pani miejsce pracy tuż przed stanem wojennym?

Pracowałam na Wydziale Biologii i Nauki o Ziemi (kiedyś to był jeden wydział, teraz te wydziały się rozłączyły) Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. I jak przyjechałam do Poznania, przyszedłam do pracy, to już zaczął się organizować ruch.

A jakie stanowisko Pani zajmowała?

Ja pracowałam jako samodzielny referent administracyjny w dziekanacie na tym wydziale. Wcześniej, jak się te strajki zaczęły, to na uniwerku zaczęło się coś dziać. Już skontaktowali się z Barańczakiem, bo przecież on był wyrzucony z uczelni za tę swoją KOR-owską działalność. I w tym samym dniu, kiedy przyszedłam po urlopie do pracy było zebranie związków zawodowych, ale tych reżimowych związków zawodowych. Oni tak grupami robili [to zebranie], że najpierw pracownicy administracyjni, później pracownicy naukowci. My administracyjni pierwsi poszliśmy na ten ogień. No i ja wchodzę na tę salę, patrzę, a za zielonym sukniem całe to towarzystwo siedzi i oni coś nam zaczynają tłumaczyć, że to właśnie w związku ze strajkami w Gdańsku, jakieś takie banialuki nam opowiadają. Wleciała Krystyna Górka, która w międzyczasie już zdążyła wrócić z Gdańska. I ona ściąga sweter i mówi, że właśnie prosto z Gdańska [jedzie]. Dowiedziała się, że tu jest zebranie pracowników administracyjnych i chciała powiedzieć, że właśnie powstają niezależne związki. Jeszcze nie mówiła nazwy, tylko że formują się w Gdańsku. I ktoś ta z góry, z balkonu krzyczy: „My chcemy tych wolnych związków, my chcemy do tych wolnych związków.” Szum się zrobił. Ja patrzę- zielone sukno puste. Uciekła ta cała ferajna, to towarzystwo. Nie będę wymieniała nazwisk. Ale szok dla nas totalny. Krystyna wpadła i [wybieraliśmy] poszczególne delegacje z wydziałów, żeby zorganizować u siebie na wydziałach. Ja następnego dnia przyszedłam [do pracy] i mówię, że coś takiego powstaje i „słuchajcie, jest taki problem, że trzeba na karteczce wypowiedzieć tamtym związkom, bo to się wiąże z forszą, ze składkami”. Wypowiedzieć [po to], żeby kwestura wiedziała, że już przy następnym potrąceniu będzie już na te nowe związki zawodowe. Później już mieliśmy zebranie osób, które reprezentowały poszczególne wydziały. Dowiedziałam się, że taka ma być nazwa-

Solidarność. Przyszłam następnego dnia i melduję, że tu właśnie będzie nazwa Solidarność i takim sposobem zostałam później wybrana. Byłam członkiem komisji rewizyjnej w związku [zawodowym] Solidarność na Uniwersytecie. No i tak to się zaczęło.

Czy podejmując działalność opozycyjną miała Pani świadomość czekających represji?

Tak, dziadek mi uświadomił: czy zdaję sobie sprawę, w co się pakuję, że „to się tak nie skończy”. Ja powiedziałam, że „jak się ktoś czegoś podejmuje, to wie, jakie konsekwencje będą”.

Czym dla Pani była ta działalność opozycyjna?

Oddechem. Wreszcie nie musiałam być taka rozkojarzona, że w domu co innego, w szkole, czy w pracy co innego. Sądziłam, że to się tak skończy, że wreszcie człowiek będzie się mógł swobodnie wypowiedzieć. Swobodnie będzie mógł oddychać czystym powietrzem. A nie, jak powie coś, to musi [uważać], żeby za dużo nie powiedzieć, bo ktoś może sypnąć i może to czymś grozić. Bo przez wszystkie lata, kiedy pracowałam, tak było.

Czyli, takie poczucie wolności?

Tak!

Czy nie obawiała się Pani o losy bliskich, rodziny?

Tak. Moja matka była już 30 lat po połowicznym paraliżu, miała trzykrotny wylew krwi do mózgu. Miała prawostronny paraliż. Dziadek już skończył 90 lat. To były jedyne osoby, z którymi zostałam. [Mama z dziadkiem] konsultowała. Dziadek stwierdził, że my to mamy chyba genetycznie zakodowane i on to rozumie, tylko mam się zastanowić, w co się pakuję, bo to nie wszystko jest tak czyste jak to wygląda. No, wiedział, co w trawie piszczy.

Czyli do stanu wojennego była Pani w komisji rewizyjnej w Solidarności na uniwersytecie?

Tak, byłam delegatem z wydziału, a w komisji zakładowej uniwersytetu byłam członkiem komisji rewizyjnej.

I na czym polegała ta działalność? Mogłaby Pani w kilku zdaniach opisać?

Ponieważ przewodniczącym był pracownik dydaktyczny,[i] w związku z tym, że on miał mniej czasu, musiałam być na każdym posiedzeniu komisji. Jak padały wnioski musiałam zwracać uwagę, czy one są zgodne ze statutem Solidarności, czy my przypadkiem nie wykraczamy poza statut. No i przede wszystkim finanse. Trzeba było pilnować, aby komisja zakładowa tak obracała finansami, żeby nie wydawać na coś, co w danej chwili nie jest potrzebne, a co może przydać się później. To taka była rola. I na każdym zebraniu komisji [byłam]. One w początkowym okresie nawet 2-3 razy w tygodniu się odbywały. Rano do pracy, z pracy na posiedzenie komisji zakładowej. W nocy się to kończyło. Prawie pieszko do domu, bo w nocy to inaczej tramwaje chodziły.

Gdzie Pani mieszkała?

Cały czas tutaj.

Czy Pani już była osobą zamężną?

Ja rozwiodłam się z chwilą, jak wstąpiłam do Solidarności w 1980 roku, po powrocie z wakacji.

Czy do stanu wojennego, w tym początkowym okresie istnienia Solidarności doświadczyła Pani jakichś represji?

W grudniu zastrajkowały uczelnie w związku z wypadkami w Wyższej Szkole Pożarnictwa w Warszawie. Wszystkie uczelnie Polski podjęły strajki. Nasza uczelnia również podjęła strajk. Ja byłam w tej sytuacji, że ponieważ dzieci nie miałam, w związku z tym ja na nocne dyżury [przychodziłam]. A pani kierownik, (biologia zajmowała wówczas gmach Collegium Maius na Freta, [tam] gdzie Akademia Medyczna) powiedziała, że jest awaria centralnego ogrzewania. No i ja w tym zimnie dostałam zapalenia oskrzeli. Autentycznie, rozchorowałam się. I będąc na tym chorobowym przyszedłam do dziekanatu. Akurat dziekan wszedł. Ja mówię, że przyniosłam dalsze zwolnienie, że nie mogę dojść do siebie. Mówię: „Chyba przez to, że ja palę, dlatego tak mi się długo trzyma.”. On mnie zawołał do siebie do gabinetu i mówi, że był ten opiekun (bo wszystkie uczelnie dostały opiekuna jak się te strajki zaczęły) i że moja kierowniczką udostępniła mu moje biurko. Ale mówi, że on zdążył rano przyjść i z pierwszą, która rano przyszła wyczyścili i biurko z tych związkowych różnych dokumentów. Natomiast pytał, czy coś jeszcze mam. Ja mówię: „Co ja jeszcze mogę mieć?”. Ja miałam to, co aktualnie było obowiązujące. Przecież ja nie robiłam nic niezgodnie z prawem. A innych rzeczy, bo miałam przyjaciół w KPN-ie, to nie przyniosę do pracy, tylko trzymałam w chałupie. I jak ten 13 grudnia rąbnął, to ja wtedy byłam na zwolnieniu lekarskim. Poradzono jednak, bym stamtąd uciekła, bo mogę mieć kłopoty. Ja z dniem 1 stycznia 1982 złożyłam wypowiedzenie. Moja kierowniczką bardzo chętnie się zgodziła, bo ona ze mną chyba by nie wyrobiła. Nasza stara kierowniczką przeszła na emeryturę i ona przyszła. Ona w bibliotece pracowała. Tam sekretarzem był Wysocki. On ją rekomendował. Ona była z poparciem partyjnym i praktycznie musiała spłacić dług. I dlatego tak współgrała.

A zatem przechodzimy bezpośrednio do okresu stanu wojennego.

No tak. Jak się zwolniłam z uniwersytetu, musiałam sobie jakieś zajęcie znaleźć. Moja koleżanka miała warsztat krawiecki. To przecież kartki były i skądś trzeba było kartki [wziąć]. Więc ona mi poradziła, że mam zgłosić do izby działalność krawiecką. „Będziesz miała- mówi- kartki zapewnione, a ja ci będę dostarczała [materiał]. Ty mi będziesz pomagała i będziesz szyła.” I tak ześmy nawiązały współpracę, że ja składki opłacałam i dostawałam kartki z Izby Rzemieślniczej, a ona mi pomagała. Ciężko było, bo ciężko, ale chodziło o to, by jakoś przeżyć ten okres.

A jaką funkcję pełniła Pani teraz w Solidarności. Przeszła Pani do podziemia?

To grono, z którym, ja utrzymywałam ścisły kontakt, było internowane. A resztę trzeba było dopiero wachać. Spotkałam studenta z mojego wydziału. Na placu Mickiewicza się spotkaliśmy i ja mówię, że „już dostaję kuku na muniu, bo praktycznie nie wiadomo do kogo się odezwać”. Ja mówię, że przecież my „nie możemy tak siedzieć i czekać na zbawienie, bo jak my nie będziemy nic robić, to oni nas faktycznie wszystkich [pozałatwiają]. On mnie znał z czasów, kiedy uczelnie i studenci zastrajkowały. Ja przecież organizowałam pieniądze dla nich. Kupowałam im jedzenie, cukier, takie podstawowe rzeczy, które były potrzebne. Więc oni mnie znali. Wiedzieli, że jestem taka, że nigdy w alianse z nikim nie pójde. I on mówi, że w tej chwili jest potrzebne pomieszczenie. Ja mówię, że się nie narzucam, ale „pod latarnią jest podobno najciemniej. Mam tutaj punkt ZOMO. Zaraz za mną jest taka chałupka. To tam sobie zrobili punkt ZOMO.” Tu gdzie są bloki esbecko-wojskowe. Ja mówię: „Ochronę mamy. Ja się nie narzucam. Jak chcecie, to proszę bardzo. Tylko mnie uprzedźcie, bo przede wszystkim matkę i dziadka muszę uprzedzić, a po drugie muszę jakoś przygotować się.”

Jakiego charakteru miała to być działalność?

Drukowaliśmy biuletyn „Solidarni”. To było pismo uniwersyteckie, które potem zeszło do podziemia. Jak on przyjechał, okazało się, że to sami swoi. Ale chodziło o to, że każdy nie wiedział kto z kim? No i żeśmy się umówili, ja uruchomiłam pokój.

W który to było roku?

To było w 1982. Pod koniec 1982 roku. Uruchomiłam to i kiedy było trzeba to przyjeżdżali. Po zakończeniu pracy myśmy to później składali w karton i [znosili] do piwnicy. Ta piwnica w czasie wojny była schronem. Esbecja była i pytała się: „A co to jest?”. A ja odpowiadam: „schron”. I oni się śmiali. Na nieszczęście w tym schronie to znaleźli, ten cały arsenał. Wtedy, jak [esbecy] wpadli, to ja przypuszczam, że to była wyspa z Torunia, z uniwersytetu toruńskiego. Tu do mnie przyjechali studenci. Ja jednego z tych studentów znałam, bo jego rodzice byli moimi przyjaciółmi. I on ze mną się skontaktował i takim sposobem przywiózł tutaj [innych]. Okazało się, że jeden [z nich] był synem pułkownika. Ale wcale nie [jest] powiedziane, że on właśnie sypał, tylko być może któryś z nich. W każdym razie przyjechało ich tu w sumie trzech. Przyjechał Paweł Łukiszka, Ryba i Stasio Zawada. I być może stamtąd ogon przyjechał. Nie wiem. Albo któryś z naszych ogona miał. Po prostu trzaśnięto grupę. W tym czasie oni musieli uciekać [z miejsca] gdzie [dotąd] drukowali, bo tam kogoś zwinęto. [Ale] zostawiono jednego, [i] po tym jednym tutaj dotarli.

Na czym drukowaliście? Czy to maszyny były, sitodruk czy powielacz?

Tak jest! Najprostszy. Bo to najprościej jest potem zdemontować, wsadzić w karton i wynieść. To było gdzieś trzy miesiące: listopad, grudzień, styczeń. 26 lutego nas pozwijali. Przyszli tu akurat w tym czasie, kiedy ten Toruń był u mnie. Ja akurat zrobiłam im kanapki. Matka przyniosła z kościoła taki holenderski ser. Tak mi się nieładnie skroiło. I sobie te nieładną kromkę z tym nieładnie skrojonym serem trzymałam. Byłam w fartuszku. Oni tutaj zakąszali, ja już im dałam materiały i jacyś [ludzie] trzy razy dzwonią. A my mieliśmy umówiony [właśnie] taki sygnał. „Trzy razy ktoś dzwoni? Czy wyście kogoś zapraszali? Czy z kimś żeście się umawiali?” Oni mówią: „nie”. Ja mówię: „od nas ktoś? Cholera! Trzy razy ktoś dzwoni.”. Ja mówię: „Uważajcie!” No i otworzyłam te drzwi. Patrzą, jeden mały i takie dwie szafy stoją. Już wiedziałam, o co chodzi. W każdym razie pakowałam ten ser [do ust], śliny mi zabrakło, a pakowałam dalej. Wyglądałam jak chomik. Miałam takie [policzki] wypełnione, z nerwów nie mogę [nic powiedzieć], dalej to połykam. I on mi mówi, że „na podstawie dekretu o stanie wojennym...”. Ja mówię: „Niech Pan skończy, legitymację proszę pokazać, ja nie wiem, kim Panowie są, ja Panów nie znam.”. Tak głośno mówiłam, bo oni tutaj siedzieli. Tu był inny tapczan, ława była. I bardzo głośno mówiłam, żeby słyszeli. Drzwi były uchylone, nie były tak otwarte. I ja mówię: „Proszę o legitymację. Chwileczkę, proszę tak nie machać.”. Naturalnie nie widziałam tego nazwiska (potem dowiedziałam się, że to było dwóch braci esbeków). Chodziło o czas, aby oni mogli się popakować. I faktycznie zdążyli popakować między oparcia tapczanu, że niby tylko przy kanapkach siedzieli. Ale [esbecy] tam znaleźli. Ja powiedziałam, że to są moje, że ja czytam przed snem, a potem [tam] kładę, bo już mi się nie chce wstawać. Chciałam dzieciaków ochraniać. Ja już byłam starsza. Oni dopiero byli na studiach. A oni, głupi, się przyznali. Niepotrzebnie. A ja o tym nie wiedziałam, bo nas wyprowadzali pojedynczo. Mnie ostatnią z domu wzięli. Jak tutaj ta esbecja wpadła, to tu było trzech z uniwersytetu toruńskiego, jeden kolega z mojego wydziału i drugi jego brat, który nie był na uniwersytecie, czyli było dwóch kolegów Rycherskich. No i ja. Tak że w sumie sześć osób było. I tu się okazało, że oni mieli nas dokładnie rozpracowanych. Bo mnie ostatnią wyprowadzali. A w sumie w tę sobotę i niedzielę to nas 14 osób zgarnęli.

A jaka to była dokładnie data?

To był 26 luty i 27 [lutego zatrzymali] resztę z Uniwersytetu i Politechniki, z Akademii Rolniczej, tak że wszystkie uczelnie się spotkały.

...na Kochanowskiego.

Na Kochanowskiego, nie było rady, w te podziemia. Ja już nie wiem w którym podziemiu byłam. Ja byłam taka wyglupiona, jedynaczka wychuchana, wylulana. A tu taki katafalk mi rąbnęli. Okna były takie, że chyba trzydzieści lat nie czyszczone. Człowiek nie wiedział, czy jest rano, czy wieczór, noc, czy dzień, bo to luty, szybko się robi szaro. A okna cały czas szare były. Jakiś taki świecący materac. Jak oni mnie tam tej nocy sprowadzili, to ja byłam przerażona. Ale cholera, zabić się nie dam. Nawet się nie rozebrałam. Czapkę tylko zdjęłam. Bo ja w ogóle przyjechałam w kożuchu, w czapce z lisa, w brazylijskich kozakach. Ja na imieniny miałam iść. Z nimi miałam załatwić, [a potem] ze znajomymi się umówiłam, bo to Romana. A dziadek miał następnego dnia gości, więc do nich wcześniej miałam iść, a z dziadkiem i z rodziną później miało być. Trzy dni mi kocioł robili i wszyscy goście zostali wyłapani. Pan sobie wyobraża, co się tu działo. Dziadek dostał wylew z nosa, matka poleciała do sąsiadów lekarza wzywać, bo mu nie mogli zatamować tej krwi. Ale dziadek powiedział, że do mnie żadnej pretensji nie ma, bo przecież było wiadomo, że to się różnie kończy. „Ja – powiada- przeszedłem I wojnę światową, powstanie, II wojnę i ja wiem jak to wygląda.” Fakt faktem że nas za dużo było i niektórych politycznych już podobno posadzili na Wildzie. Za dużo nas było więc po paru dniach przewozili nas wszystkich do aresztu na Młyńską.

Jaki zarzut wam postawiono? Co znaleźli: powielacz, egzemplarze biuletynu „Solidarni”?

Nie tylko. Pisma KPN-owskie i inne...

Znaleźli też farbę i powielacz?

To wszystko było w tym kartonie. Karton był zaklejony. Wzywali biegłego, bo ja powiedziałam, że to ktoś przywiózł po manifestacji na placu Mickiewicza. Przywiózł, żeby przechować i to leży. Nam pękła taka listwa. Myśmy pożyczali listwę od innych drukarzy. I za każdym razem jak skończyliśmy druk trzeba było tę listwę oddać, bo inni już na to czekali. A nasza listwa cały czas była w tym kartonie. Ja o tym wiedziałam. No i ten biegły, jak dostałam później ekspertyzę, mówił, że to mogło, ale nie musiało [być używane], bo tam [było] ileś warstw. I to tak wygląda, jakby od dłuższego czasu nie była używana. To był taki biegły, że nawet nie zauważył, że [listwa] jest pęknięta. Miałam taką dużą maszynę mercedesa, przynieśliśmy ją dzień wcześniej. Ona miała niemieckie czcionki, myśmy przerobili na polskie, żeby się tak nie mordować. I dziadek na workówkach siedział. Siku mu się chciało, nie mógł wstać. Ja tam miałam coś do pisania, zaczęłam tylko. Dzięki Bogu, że nie było całego tekstu, bo przerabialiśmy tę maszynę. Tam wszystko pobrali. Jak już sobie to wszystko na Kochanowskiego poukładałam to doszłam do wniosku, że oni nas mogą w nos pocałować. Nic na nas nie mają. Nie udowodnią. Jak później czytałam akta, jak nas wypuszczali w lipcu (wtedy siedzieliśmy pięć miesięcy) to stwierdziłam, że wszystkie kobiety się trzymały. Natomiast chłopcy za dużo paplali. Może dlatego, że ci ludzie byli młodzi.

Wróćmy do przebiegu całego procesu represyjnego. Była Pani zatrzymana, przewieziono Panią, wraz z innymi na Kochanowskiego i rozpoczęły się tam...

Tak, do Komendy Wojewódzkiej. I rozpoczęły się tam przesłuchania do rana.

Może Pani rozwinąć ten temat?

Osobnik tenże mi się nie przedstawił. „O, Pani koledzy tutaj...” i kartką mi wiewa. A ja widzę, że kartka pusta. Ja mówię: „Być może koledzy chcą zostać bohaterami. Ja tak nie zamierzam. Ja nic nie wiem. Spotkaliśmy się towarzysko. Ja znam wszystkich. A sprawia nam przyjemność, jeżeli uda nam się dostać jakieś egzemplarze.”. Udawałam głupa. Żal mi było tych młodych ludzi, bo oni mieli karierę praktycznie złamana. Dopiero zaczęli studia. I to akurat na wydziale prawa. Mnie brali krótko przed północą, bo tak im wypadło czasowo. Wołga i karetki stały tutaj. Ja nawet mówię: „To huknę przez okno!”. Ale gdzie? Obstawiona cała chałupa. Bo ja wiedziałam, gdzie jest dziura w płocie i gdzie mogę przejść innym podwórkiem. Co tam, skoczę przez okno, ziemia miękka. Co mi szkodzi, nie? Wolę nawet nogi połamać, aniżeli się chamom dać. Ale gdzie? Widzę, że czarno, jakiś taki w skórze. Sąsiadka- babcia Pietruszewska- szła z kościoła i zobaczyła [jednego] w takiej skórze. Zaczęła krzyczeć, że napad! A to funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa stali., Ten [z dołu], który współpracował, przecież nie był głupi (był telefonistą w Merkurym), wiedział kto [to jest], ale zagrał głupa przed tą swoją matką i zadzwonił po policję: „Trzeba żeby policja przyjechała. Jacyś tacy stoją na klatce schodowej. Matkę przestraszyli, trzeba pogotowie wezwać, a poza tym trzeba sprawdzić, kto to jest, bo jacyś obcy ludzie tu się kręcą.”. No i przyjechali.

Wróćmy na Kochanowskiego. Ile czasu tam Panią trzymali?

Ja siedziałam mniej więcej 24 godziny. Bo następnego dnia kazali mi się ubrać i żeby iść do transportu. Ja się ubrałam, a oni mnie postawili w tym holu i sobie poszli. Mnie naturalnie świtało w głowie gdzie tutaj uciec. Mój przewodniczący z uniwersytetu mieszkał na Polnej i mówi: „pierwsze, to będą mnie tam szukać”. Albo prowokacja: postrzelą mnie gdzieś i powiedzą: „bo uciekała”. Oparłam się o futrynę tych drzwi i stoję. Pytają: „To jeszcze nie ma samochodu?”. A ja się pytam: „To my czekamy na samochód?”. A on mówi: „tak”. To ja mówię, że jeszcze na razie nic nie widziałam. A oni czekali na tę wołgę. W międzyczasie pewnie nie było innych, bo pozostałych przewozili z Kochanowskiego na Młyńską. Mnie przywieźli wieczorem, nie miał mnie kto odebrać, nie miał mi kto [dać] depozytu. Klawiszka odebrała ode mnie złoto, to które miałam na imieniny. Ja byłam taka wyzłocona. Odebrała ode mnie te wisiorki. Następnego dnia dowiadywałam się o tych osadzonych. Bo mnie samą do celi dali. [Inni myśleli], że tutaj musi być jakaś szycha, skoro [ją dali] do celi samą. Bo inne cele były wypełnione. I jak stałam do jakiegoś wychowawcy, salowa mówi: „Niech Pani uważa, kogo Pani do celi dadzą, my damy cynka, kto to jest.”. Przez ten okres czasu, co czekałam do wychowawcy, już byłam na bieżąco. „Skąd Pani jest?” „Uniwersytet!” „O, to Krystyna Laskowik siedzi na Pani piętrze.” To ja mówię: „Proszę jej powiedzieć, że tu jestem.”. „A w której celi?” „Prawie naprzeciwko Pani, tylko bardziej przy końcu.” Jak wróciłam od wychowawcy, to już miałam od Krystyny mydełko, już mi tu przysłała przez te dziewczuch. Halina Gawęcka z uniwersytetu. Tak nas usadzali - co drugie cele. Pośrednio, przez te pozostałe, jakoś żeśmy te kontakty nawiązały. Jedyne, czego nie robiłam, żadna z nas nie robiła tych grypsów. Jedno co sobie zażyczyłam do celi. Esbecja miała taki zwyczaj, że [ktoś] przychodził na przykład codziennie i później nie było go przez parę miesięcy. Ja myślałam, że mam luz, a tu nagle się pojawia.

Na śledztwo?

Tak. Jakieś takie dziwne zwyczaje mieli. Jakiś taki pamiętam Stryjski, on mi się pochwalił, że mieszkał tu w sąsiedztwie, był ministrantem. Ludzie, którzy, jak mi się wydaje, mieli wszechstronne wykształcenie. O wszystkim można było z nimi rozmawiać. Zastanawiałam się, o czym z nimi mam rozmawiać, bo przecie głupa gram. On [wraca] do tematu, a ja [opowiadam] takie pierdoły o kamieniach szlachetnych. Facet na wszystkie tematy mógł rozmawiać. Myślę sobie, na filozofię przejdę, oni mają tę marksistowsko-leninowską, nie mają filozofii Tomasza z Akwinu. Może na tym się nie

zna. Ale na tym też się znał. Wszechstronnie wykształceni byli ci esbecy. Nie wiem po jakich studiach był, ale coś mi się wydaje, że po prawniczych. Jak w tych kołchoźnikach słyszałam, że Watykan doszedł do porozumienia z Warszawą, że papież ma przyjechać, to ja już wiedziałam, że jesteśmy wolni, że w każdej chwili [mogą nas zwolnić], będą musieli, bo to przecież jest warunek.

Ale wytoczyli wam sprawę? Były jakieś procesy?

Był proces. Teraz to już mogę powiedzieć, bo już nie żyje ten mój kolega, który był przewodniczącym składu sędziowskiego. Proces toczył się przed Sądem Wojewódzkim. Jak on mnie zobaczył to mówi: „Co ja z tymi Paszkiewiczami mam?”. Bo było tak, że krótko po ślubie mój mąż okna wybijał, i była sprawa i on tę sprawę też prowadził. Ja mówię: „spokojnie!”. No i ten prokurator Sobolewski gęga, gęga. Czternaście osób nas wtedy było. W sumie nic nam przecież nie udowodniono. Ktoś tam niby się przyznał, ale ktoś inny zaprzeczył. Ja, jak mówię, nie zdążyłam wszystkich tomów przeczytać. Głównie szukałam, kto mnie sypanął. Kto był w tym czasie. Matka mówiła, żeby taki Jurek, bo on brał od matki kartki na wódkę, a matka od niego kartki na papierosy. Bo matka paliła, ale nie piła. Oni między sobą te kartki wymieniali i on się wdupił akurat jak kocioł był w domu. Ta koleżanka, z którą współpracowałam, ta co warsztat miała. Ona z dzieckiem wpadła. Mówi: „Jak przyszłam do domu, a nie jechałam tramwajem, tylko na piechotę, więc jak wpadłam do łazienki, to nie mogłam wstać, tak mnie czyściło.”. Mówi: „Jak ty żeś to przeżyła?” Ja mówię: „Wiesz, ja jestem z innego domu i ty jesteś z innego. Ty patrzysz na pieniądze, a u nas to było, że należy przede wszystkim być, a nie mieć.”.

Proces się odbył po jakim czasie?

Dominikanie wyrzucili nas pod Zakopane. To był chyba sierpień. Oni nas szybko wyrzucili z Poznania przed sierpniem, żeby nas znowu nie trzasnęli.

Czyli, najpierw wypuścili was z aresztu i potem był proces?

Tak. Proces mieliśmy w sierpniu, bo w lipcu nas wypuścili. Ja miałam nie przyjeżdżać, bo mój adwokat był też poza Poznaniem, ale przecież ja ich nie zostawię. Pojechałam z nimi. No i było pytanie, czy wszyscy wyrażają zgodę na przyjęcie kary. Wszyscy przyjęli, a ja nie przyjąłam.

A jaki był wyrok?

No właśnie ja nie wiem jaki, bo ja nie przyjąłam...Ja nie mam tych dokumentów. Sędzia zapytał, dlaczego ja nie przyjmuję. A ja powiedziałam, że nie ma w prawie czegoś takiego, że osobę podejrzaną można ukarać. Przecież prokurator niczego mi nie udowodnił. To są wszystko przypuszczenia. Ja mówię: „Czytałam dokumenty, mam wszystkie ekspertyzy biegłych, bo przecież prokurator wszystkie papiery wysyłał do biegłych. Ja to mam, specjalną teczkę sobie założyłam. Przecież mnie nic nie udowodniono. Jako osoba podejrzana, mam być skazana, a następnie przyjąć amnestię?”. Bo tu chodziło o amnestię. Bo ogłoszono amnestię z karencją iluś letnią. Ja mówię, że ja tej amnestii nie przyjmuję. Zaczął się szum w składzie sędziowskim i powiedzieli, że dostanę zawiadomienie. Świętej pamięci Adwokat przyjechał i mówi: „Prosiłem, żeby Pani nie przyjeżdżała.”. A ja mówię, że nie mogłam nie przyjechać. „Wszyscy równo żeśmy siedzieli, dlaczego ja mam być uprzywilejowana?”

Czyli jaki był wyrok?

Wyrok był taki, że jesteśmy podejrzeni z artykułu takiego to, a takiego, a na mocy amnestii otrzymujemy karencję do któregoś tam roku. A ponieważ ja nie przyjąłam i zaczął się kocioł. Miałam osobną sprawę. To był chyba listopad. I co się okazało? Że

Prokuratura Wojewódzka i Sąd Wojewódzki zwrócili się do prokuratury generalnej z pytaniem, co oni mają zrobić w takiej sytuacji, kiedy podejrzany nie chce przyjąć amnestii. I sąd i prokurator otrzymali decyzję, że amnestia jest obowiązkowa i należy niezwłocznie ją przyjąć. Ten mój znajomy sędzia spotkał się jeszcze z moim adwokatem i mówi: „No i co Panie mecenasie? Amnestia jest obowiązkowa i należy ją przyjąć.”. A do mnie mówi: „A ty nie pyskuj, bo ty tu nie masz nic do gadania. Amnestia jest obowiązkowa i trzeba ją przyjąć.”. I faktycznie. U przewodniczącej Sądu Wojewódzkiego w gabinecie (jeszcze dwóch sędziów przy tym było) prokurator Sobolewski znowu zaczyna coś gęgać. Ja nie wytrzymałam i zaczęłam coś protestować, a mój mecenas prosi: „Skoro mi Pani płaci, niech mi Pani pozwoli działać.”. A ja mu na to, że ja już tych głupot nie mogę słuchać. „Niezrozumiałe są dla mnie zarzuty, które stawia Pan Prokurator Sobolewski. W związku z tym ja też chciałabym zająć jakieś stanowisko.” No i mecenas mówi: „ Proszę Wysokiego Sądu, my amnestię przyjmujemy.”. Wy tłumaczył mi, że nie ma sensu się szarpać. „Jeszcze by sąd uznał, że Pani obraziła sąd i wsadziłby Pani jakąś grzywnę. Albo z powrotem poszłaby Pani do kryminału za to, że sąd Pani obraziła”.

Czy potem wróciła Pani do jakiejś działalności opozycyjnej?

Potem, jak mnie wypuścili to ja się zaangażowałam, jak w czasie II wojny światowej na zasadzie takich piątek. I organizowaliśmy środki finansowe dla tych osób, które siedziały, które po nas zostały schwytane. I trzeba było z babcią Zosią porozmawiać, to była pielęgniarka zawodowa. Ona wywiad przeprowadziła. Najpierw pogrzebała w kartotekach u dominikanów, żeby zobaczyć, co tam jest. Chodziło o ustalenie adresów. Dominikanom łatwiej było te adresy zdobyć. Ja w międzyczasie załatwiłam sobie pracę w przedsiębiorstwie polonijnym. Zaczęłam od tego, że robiłam u nich ręcznie za eksport, a później na maszynowym. Miałam do dyspozycji służbowy samochód, w związku z czym było łatwiej. Wsadzałam w malucha te moje worki z tymi produktami, z tą wełną i drugie worki z jedzeniem.

W ten sposób pomagało się rodzinom represjonowanych?

Tak, ona robiła wywiad środowiskowy, gdzie są dzieci, gdzie są potrzebujący. A ja to rozwodziłam samochodem. Adresy miałam na karteczce- co dla kogo itd.

Który to był rok? 1984?

Tak 84-85 rok. Tak. Myśmy się już tutaj zorganizowali. I do tej pory ta grupa została. Zestarzeliśmy się.

Porozmawiajmy teraz na temat skutków represji, jakich Pani doświadczyła w czasie stanu wojennego i później.

Poza stanem emocjonalnym, bo przecież byłam wychuchaną przez dziadków jedynaczką, do dzisiaj mi zostało to, że mam lęk wysokości. Musiałam włączyć na dach, bo lokatorzy mówili, że im cieknie na głowę. Weszłam kawałek i dalej nie. Takiego sąsiada-pijaczka wezwałam, bo tylko dotąd mogłam wejść. Nawet jak się z własnego balkonu wychylę robi mi się niedobrze. Kiedyś tego nie miałam. Złapałam nadczynność tarczycy, która zwie się Graves Basedowa(?). To nie jest do końca zbadane, ale powstaje na tle psychofizycznym. Zazwyczaj tarczyca kojarzy się z wolem, a ja dostałam wytrzeszczu oczu. Ja miałam takie oczy, że nie mogłam ich zamknąć. Jak patrzyłam w telewizor to widziałam trzy-cztery telewizory. I w górę i wszere.

Można powiedzieć, że to był skutek tego, co Pani przeżyła wówczas?

Orzeciono, że na 100 % nie można stwierdzić, że to ma związek z moją odsiadką. Może to być połączone również z Czarnobylem. Bo niecałe dwa lata po Czarnobylu mi

to wyskoczyło. Ja miałam wcześniej rentę inwalidzką przyznaną na uczulenie i na kręgosłup. Trenowałam kiedyś lekkoatletykę i tańczyłam. Chodziłam po lekarzach, wiadomo było, że coś mi jest, ale nie wiadomo do końca co i z jakiego powodu. Na ulicy padałam, musiała się przytrzymywać. Ludzie myśleli, że pijana albo coś w tym stylu. A mnie się po prostu słabo robiło, nie mogłam tchu złapać. W końcu lekarka wysłała mnie do poradni zdrowia psychicznego. Oczywiście odesłano mnie stamtąd z komentarzem, że nie przysyła się do takiej poradni człowieka na podstawie podstawowych wyników badań. Trzeba jakieś badania specjalistyczne zrobić. W rezultacie odsyłano mnie od Annasza do Kajfasza, a ja cały czas puchłam. I dopiero jak wywalili tę naszą lekarkę, przyszedł inny lekarz. A jeszcze wcześniej przypomniałam sobie, jak znajomy przyszedł i zobaczył, że uciekam w panice z własnego balkonu twierdząc, że samochody na mnie jadą. A mieszkam na I piętrze. On siłą wyrzucił mnie do lekarza. W przychodni lekarz tylko na mnie spojrzał i natychmiast kazał mi się zgłosić na Przybyszewskiego, na endokrynologię. Poszłam natychmiast, a tam okazało się, że nie ma numerków, bo pacjenci zgłaszają się o 6 rano.

Czyli można powiedzieć, że jednym ze skutków represji było pogorszenie się Pani zdrowia psychicznego?

Tak. Ja odżywiam się normalnie, ale wiadomo, że bardziej nie utyję. Tyle że żaden lekarz nie odważył się tego powiązać z moimi przeżyciami w stanie wojennym, no i z Czarnobylem, że być może Czarnobyl przyspieszył to, co wcześniej działało się w organizmie. No i to, że wcześniej pięć miesięcy siedziałam. To wszystko mogło się skumulować.

A jakieś inne skutki? Może natury materialnej?

Do pracy na uczelni powrócić nie mogłam. Po pierwsze moje stanowisko było zajęte, po drugie kierowniczka nigdy by się nie zgodziła, aby mnie przyjąć. Mówiąc szczerze ta firma polonijna trochę mi życie uratowała, bo miałam jakiś godziwy zarobek, no i samochód. Mogłam też pomóc trochę innym ludziom. Byłam dobra, dopóki nie załatwiłam wizy dla kogoś z szefostwa tej firmy (mój kolega pracował w konsulacie amerykańskim, jeździłam po tę wizę do Warszawy). A później, kiedy ja potrzebowałam wsparcia w ciężkiej chwili, kiedy kot (już trzeci z kolei) padł mi na koci tyfus, oni okazali się ludźmi bezdusznymi. Więc odeszłam stamtąd. A ponieważ już zaczęłam chorować, przesłałam na rentę. Później dałam lokatorom moje mieszkanie spółdzielcze na osiedlu Dębina, a tutaj były NZS-y czyli studenci robili co swoje. Ja jeszcze pracowałam w tej firmie polonijnej, a oni tu urzędowali. Jak ja się stamtąd zwolniłam to już się zanosilo na Okrągły Stół. Chodziło znowu o poszukanie pomieszczenia. Skoro ma być ten Okrągły Stół trzeba być przygotowanym. No i tu delegacja przyjechała, Zosia, Janusz [Pałubicki]. Ja powiedziałam, że to mieszkanie jest praktycznie wolne, bo tu na razie są NZS-y. Oni mówią, że oni to załatwią oficjalnie. Ja mówię: „Poczekajcie, to się przemelduję, bo nie chcę, aby moja rodzina znowu przechodziła ten sam cyrk.”. Biegłam szybko, żeby przed trzecią się przemeldować, a o 15-tej w Wolnej Europie już leciał komunikat o utworzeniu Tymczasowego Ośrodka Konsultacyjno-Informacyjnego NSZZ Solidarność.

Czy to już był rok 1989?

Myśmy zaczęli parę miesięcy wcześniej, jeszcze w 1988. To było na tej zasadzie, że Pałubicki płacił mi jakieś drobne kwoty za użytkowanie tego mieszkania i za to, że ja tu siedziałam na dyżurze. Ale znowu było ciężko. No, ale to się bardziej dla idei robiło niż dla pieniędzy. Tutaj odbywały się zebrania ludzi z Cegielskiego. Trochę byłam zła, bo chłopcy z NZS-u bałagan robili. Nie dało się zeszkrobać z drzwi i ze ścian resztek farby. Chciałam to jakoś uporządkować, bo wiedziałam, że wieczorem „Cegielski” się zbiera w

tym samym pomieszczeniu. Oni „urzędowali” w dużym pokoju, a ja w tym malutkim. Naturalnie po dwóch dniach już miałam wjazd. Życzliwi sąsiedzi z dołu już powiadomili. Ten milicjant tylko oczy wybałuszał, że tu i Wałęsa na ścianie i papież. Ja mu mówię: „Przecież na zewnątrz tego nie wynoszę, a w moim własnym mieszkaniu nawet kupę mogę na środku zrobić i nikogo nie powinno to interesować, bo to jest moje mieszkanie. Nawet goły tyłek mogę przez okno wystawić.”. Ja poprosiłam tylko, żeby zawsze ktoś ze mną był w charakterze obstawy. Kiedyś stary esbek, z tych bloków esbeckich przyszedł i mówi: „Ale się Pani bawi.”. Odpowiedziałam mu, że kto się bawi, ten się bawi. Po twarzy widziałam, że to nikt z „naszych” tylko ktoś z „sąsiedztwa”. Potem umówiliśmy się, że po 15-tej, jak praca się kończyła, ktoś tu zawsze był. U Cegielskiego kończyli (na I zmianie) o 14-tej, to o 15-tej już tu mogli dojechać. Ja w tym czasie już starałam się mieć przygotowaną robotę. Jakies jedzenie tu przywozili. Później tutaj był Region. Jak się zaczął Okrągły Stół to zmieniliśmy nazwę. Został tylko NSZZ Solidarność. Już wtedy od rana do wieczora siedziałam. Byłam wykończona. Jeden z byłych wiceprzewodniczących wysłał nas, mnie i Zosię, do sióstr, do klasztoru. Ja z tego rumoru, jaki był tutaj, trafiłam w tę ciszę.

A u jakich sióstr? Tu gdzieś pod Poznaniem?

Nie, w górach! W takim ośrodku oazowym.

Może w Krościenku?

Tak, w Krościenku!

Rozumiem, że wróciła Pani do struktur Solidarności?

Jak byłam u tych sióstr, w pewnym momencie dostaję telefon, że za chwilę będą wybory. Ja na nich z takim dziobem, że „gdzie, czyście powariowali? Parę komisji jest zarejestrowanych, a wy już wybory urządzać?”. A to się okazało, że to Komitet Obywatelski powstał. Jak wróciłam, zobaczyłam, że w dużym pokoju, na środku stoi wielki powielacz. Z jednej strony miałam szafę z Komisjami Zakładowymi, z drugiej z Komitetami Obywatelskimi. Płakałam, bo nie mogłam sobie dać rady. Ciągłe ktoś czegoś ode mnie chciał. „Ludzie kochani, co tu się działo.” Jak te Komitety powstały, to już tam jakieś porozumienia były popodpisywane, tak że Komitet Obywatelski dostał siedzibę w Zamku, a Regionowi przyznano z powrotem siedzibę na Zwierzynieckiej, tak jak w 80 roku. No i w międzyczasie wyprowadzili się stąd. Nie, najpierw na Święty Marcin, nad kino Muza się przeprowadziliśmy, a później dopiero na Zwierzyniecką. Bo przecież trzeba było tę Zwierzyniecką opróżnić, przygotować. Później, jak już zaczęło się coś ze mną dziać, to w tych pomieszczeniach Solidarność mogła tworzyć spółki. Spółka matka była w Gdańsku, w Komisji Krajowej. Region utworzył spółkę, która nazywała się Koral. No i tu powstała spółka Koral. Ja poprosiłam Pałubickiego, że się przeniosę. Mówię mu: „Wiesz, coś mi jest, nie wiem co. Coś mi się staje, że jak ktoś wchodzi do gabinetu, ja zaczynam rzucać.”. Dzięki Bogu, dobre wychowanie miałam z domu i nie rzucałam ciężkimi przedmiotami, tylko gumkami, ołówkami, długopisami. Te chłopy biedne to zbierały. Już przez takie szparki ze mną rozmawiali. Wariatka totalna. No i przeniosłam się do tej spółki Koral. I z tej spółki przesłam na rentę. Oni później mieli większe pomieszczenia, bo to zaczęło się rozrastać. Przeszli na Jeleniogórską, na której zresztą są do tej pory. A ja wynajmowałam, bo z tej renty... Był okres, że nie miałam co jeść. Autentycznie. Gdzieś tam znajdowałam suchy chleb, na patelni odgrzewałam, bo taki ciepły, to lepiej szło jeść. Bo renta była przyznana, ale pierwsze pieniądze przyszły dopiero po pół roku. Taki znajomy postarał się i rachunkowość mi załatwił. Takie panie prowadziły tu sobie księgowość. Ale przez pół roku byłam zupełnie bez pieniędzy.

Porozmawiajmy na koniec przez chwilę o Pani dzisiejszej sytuacji: jak Pani sobie radzi dzisiaj finansowo, zdrowotnie?

Aktualnie mam 735 zł emerytury, czyli mam wliczony ten okres uniwersytecki. To gros [emerytury]. Także okres w regionie i w spółce.

Tej polonijnej?

Nie. Tej teraz tu. Bo to z ostatnich 12 czy 13 lat obliczali. Jak mi początkowo obliczyli to miałam trzysta parę złotych. Teraz, po różnych rewaloryzacjach, mam te 735 zł. Jestem sama. Wszyscy poumierali. Pierwszy dziadek zmarł, potem matka zmarła.

Dziadek w którym roku zmarł?

Dziadek zmarł w 1984. Mama zmarła już po Okrągłym Stole, czyli w 89. No i tak zostałam sama z całym tym dobytkiem. No i tak wyglądam. Tych lokatorów też już wyrzuciłam. Miałam tu studentów, ale ponieważ znam brać studencką, więc wie Pan, jak to jest. Dokładało się. Szczególnie w okresie grzewczym. Dopiero teraz mam lokatorów (już dwa lata).

Cały dom należy do Pani?

Oprócz tego [na dole], bo to mieszkanie sprzedałam. Tam gdzie był Region. Na parterze po przeciwnej stronie. Żałuję, bo znajoma tych naszych adwokatów (ona u nich pracowała jako sekretarka) sprzedała takiemu pseudo dziennikarzowi z Koszerniej. Później z tej Koszerniej chyba go wywalili, pracował podobno w Dzienniku. Teraz on też komuś sprzedał. Chciałabym to odkupić, ale czekam aż run na mieszkania minie. Bo sprzedałam za 32 tys., a teraz musiałabym mieć przeszło 200 tys. Przecież musiałabym mieć nie po kolei, żeby dopłacać do interesu. No, ale tak się złożyło. A tak, całość, oprócz tego mieszkania, jest moja.

Jaki jest dziś Pani stosunek do działalności opozycyjnej sprzed lat?

Gdybym w tym 80 roku wiedziała, jaka jest sytuacja, nie zaangażowałabym się. Ja jestem cały czas sercem związana z tym ruchem. Na samym początku, nim zjechali tak zwani doradcy.

Czyli, z tzw. pierwszą Solidarnością?

Z tą pierwszą, w której byli Gwiazdowie, Ania Walentynowicz. I cała ta grupka, która nas została, jesteśmy całym sercem związani z tą pierwszą [Solidarnością]. Natomiast doradcy w osobach Mazowiecki, Geremek, Kuroń, Michnik (inaczej się ci ludzie nazywają, ale używają [takich] nazwisk) ,te osoby, które zjechali. Przecież oni nigdy do Solidarności nie należeli i nie należą, nie są [z nią] zupełnie związani. Oni przyjechali jako doradcy. Drogi Bronisław Geremek, czyli Lewartow. Jak cała ta ferajna zjechała, to już było wiadomo, że to się zaczyna coś dziać. Ale w tym ferworze nikt się nie zastanawiał. Chcieliśmy tylko być wolni. Jak najszybciej, bo to przecież czas nas gonił. Wiadomo było, że ten stan wojenny prędzej czy później się skończy. Zresztą ja temu esbekowi powiedziałam: „Panie, wy się w harcerstwo bawicie. Prędzej czy później Pan będzie żałował, że się Pan w to wdał. Ale to jest Pana sprawa.”.

Czy do dzisiaj trwają tamte związki, relacje, przyjaźnie?

Pan rozmawiał z tą babcią Zosią...Ja tam bardzo lubię chodzić. Również mamy towarzystwo, które jest zwolennikiem platfusów. I zawsze, czy to imieniny, czy Trzeciego Maja, czy jakaś uroczystość, zawsze się kłócimy. Ja bardzo dużo czytam i to polską prasę (nie polskojęzyczną), czyli polscy redaktorzy, za polskie pieniądze, nie mają żadnego obcego kapitału. Czytam bardzo dużo książek niepoprawnych politycznie. Więc ja zawsze jestem z wiadomościami na bieżąco. Wiem, co w trawie

piszczy. Muszę Panu powiedzieć, że te osoby, które same nazywają się autorytetami moralnymi, to szlag mnie trafia, bo te osoby nie zasługują absolutnie na żadne uznanie. Jestem zawiedziona i mówię, że gdyby trochę kultury miał ten były przewodniczący i były prezydent Wałęsa, troszeczkę kultury, niedużo, trochę więcej oleju, to chociażby buzi nie otwierał. Przecież już Chrzanowskiemu udowodniono, że coś tam podpisał. Czy ktoś się go czepia? Nikt się nie czepia. Facet przyznał się. Był w więzieniu, karę śmierci dostał. Przyznał się. Natomiast iść w zaparte, gdzie już ludzie w latach 80 wiedzieli, że on w latach 70 podpisywał jakieś papiery. Są dokumenty na to. Targa po sądach tego Wyszowskiego. On u mnie stracił wszystko. Już przymykałam oczy: chce być tym autorytetem, wyciszy się, rozejdzie się p

o kościach, ale on sam zaczyna. Mniejszości żydowskie też. Oni zawsze muszą sobie szukać wrogów. Zawsze wroga szukają albo robią prowokacje. Ten Bronisław [Geremek]... Nie wiem, czy Pan zna jego wywiad do Polityki, który Hanna Krall z nim przeprowadzała w 80 roku. Jak on nas, za przeproszeniem gnoił. Nas, Polaków. I on u mnie stracił wszystko. A oczy mi się najbardziej otworzyły, jak siedziałam na Kochanowskiego. Prosiłam tylko o kawałek karteczki i kawałek ołówka, żebym tylko dom zawiadomiła, że wszystko jest w porządku. Nie dali. Jak mnie z powrotem do tej celi wepchnął, odmówił mi tych akcesoriów, to ja mówię: „Cholera, jak to jest? Michnik w pierdlu siedzi, wydaje książki... Przecież na czymś musi pisać. Nawet zakładając, że ręcznie, w co wątpię. Ale niech będzie, że ręcznie pisał. Ale papier dostał, długopis dostał. A ja nie mogę.”. I tak mi się bardzo szeroko zaczęły otwierać oczy. Potem dorwałam taką książkę „Adam Michnik, syn Ozjasza”. Wcale nie Michnik, tylko on się przecież nazywa Szreter. A jego matka, Helena Michnik, opracowywała podręczniki. Później Geremek nazywa się Lewartow. Jego ojciec miał szkołę rabiniczną. On ma nazwisko faceta, który go przygarnął z matką. A on nawet dziękuję mu nie powiedział. Temu przybranemu ojcu. Jak on nas gnoi w tym wywiadzie dla Polityki, [który przeprowadziła] Hanna Krall. Ona jest co prawda z innej gminy żydowskiej, ale tej samej mentalności. I z nią bardzo swobodnie rozmawiał. Albo Mazowiecki, on się Dikielbaum nazywał, czy jakoś tam. Z tego podziemia wszystko zaczęło wylazić i człowiek miał wreszcie czas, żeby książki, które w tym podziemiu docierały, przeczytać. Mówię: „Boże złoty, gdzie my żyjemy?”. Muszę Panu powiedzieć, że jestem tak zniesmaczona, że mam takie opory, że nie potrafię się przełamać. Nawet do tego koła Maryja przy parafii nie potrafię się przełamać. Nawet tam! Mam taki niesmak, taką blokadę jakąś jeśli chodzi o przyłączenie się. Ja mogę wszystko, ja mogę iść załatwić, ja mogę wszystko zrobić, pieniądze dać, byleby tylko nikt nie przyczepiał mnie gdzieś do jakiejś zorganizowanej grupy. Powstała taka Gazeta Polska. Taką grupę dyskusyjną sobie zrobili na Ratajach w tym klubie Pod Lipami. Nie, nie przyłączę się! Czytam Naszą Polskę. Niech Pan sobie wyobrazi, że nawet „Tylko Polskę” Bubla czytam. Dlaczego? Bo tam od czasu do czasu przelatują rzeczy, które w Naszym Dzienniku nigdy by nie przeleciały. A tu przelatują. I tam profesor Cyprian Pogonowski nawet pisze. Abonuję Nasz Dziennik. No i książki. Pan widzi. „Oni rządzą światem”. Bardzo znana książka Jima Marksa, którą bardzo trudno dostać. Ja sobie z księgarni wysyłkowej sprowadziłam. Wiem na bieżąco skąd wiatr wieje. Tak że, jestem na bieżąco. I jestem zniesmaczona tym wszystkim. Ale tak się miało stać i tak się stało. Mówi się, trudno.

Dziękuję za rozmowę.